

W programie tegorocznych Konfrontacji – „Dyrygent” Andrzeja Wajdy. W jednej z głównych ról Krystyna Janda. Po raz pierwszy pojawiła się na ekranie zaledwie cztery lata temu jako Agnieszka w „Człowieku z marmuru”. Była agresywna, kontrowersyjna, zaskakująca na tle tylu nijakich postaci w polskim kinie. Budziła zachwyty i niechęć, nikogo nie pozostawiając obojętnym.

Przestrzeń ogromna

FILM 11/1980

Rozmowa z KRYSTYNĄ JANDĄ

Na zdjęciach: Krystyna Janda i John Gielgud w „Dyrygencie” Andrzeja Wajdy



● Wszystkim, którym wydawało się, że wiedzą, czego można oczekiwać po Pani następnym rolach, zgotowała Pani wielką niespodziankę: postać dziewczyny w „Bez znieczulenia” w niczym nie przypomina Agnieszki – jest skupiona, milcząca. W której z tych ról było Pani więcej?

– Nie wiem. O tym, kogo zagram, decyduje scenariusz, idea filmu. Znacznie bardziej interesuje mnie zbudowanie postaci, jaką mogę wyczytać z tekstu, niż przymierzanie do niej siebie. Od początku ją widzę – może na razie idealny obraz, marzenie o tym, co chciałabym zagrać. A jeśli jest to postać przeciwna mojemu charakterowi, tym większa satysfakcja jeżeli uda mi się ją ożywić. Gdy zrozumiałam, o co chodzi Wajdzie w „Człowieku z marmuru”, wiedziałam, jak grać. Nie wymyślałam specjalnych środków, zdeterminował mnie kostium, sposób poruszania się. Plastyka postaci stworzyła rolę. Podobnie w „Bez znieczulenia” – zrozumienie idei rozstrzygnęło o roli. Nagle padła konstatacja: „to ja nic nie powiem”. I wszystko stało się oczywiste.

Ale oczywiście, czerpię też i z siebie, muszę, bo jeszcze właściwie niewiele umiem.

● Przeglądając listę Pani ról trudno znaleźć dwie podobne. A może to intuicja jest najważniejsza?

– Na pewno pomocna. W teatrze też. Najpierw myślę nad rolą, strasznie kombinuję, a potem gram po raz pierwszy i wszystkie błędy natychmiast stają się oczywiste. Sprawdzam na sobie. Teraz próbuję w „Ateneum” rolę Jenny w „Operze za trzy grosze”. Zagrałam całość i nagle zrozumiałam, jak się powinna kończyć ta rola. Nigdy bym tego nie wymyśliła, musiałam poczuć.

● A jak było z rolą w „Dyrygencie”?

– Trudno mi o tym mówić, bo właściwie dotąd nie potrafię sobie uporządkować tego, co tam grałam. Pamiętam jakąś magmę, szamotanie się. Powtarzałam sobie: ja, Marta, nie



chcę źle, jeśli nawet coś robię niedobrze, to nie ze złej woli, wiem, że tego obu tym mężczyznom potrzeba. Jest to zupełnie inna dziewczyna niż te, które dotąd grałam. To ktoś o wiele bardziej bezradny, nie tak do końca określony, stwarzają ją różne stany, myśli, impulsy. Może kobiety z „Człowieka z marmuru” i „Bez zniczuleń” można by określić jednym słowem; postaci z „Dyrygenta” nie potrafię...

wem; postaci z „Dyrygenta” nie potrafię...

● Jak więc przebiegało budowanie roli Marty? Ze sceny na scenę?

– Realizacja była dramatyczna, film powstawał z poszukiwań. Działalam intuicyjnie. Przychodziłam na plan i wystawiałam własne nerwy na próbę: co się stanie, jak zareaguję. Jak-



bym budowała rolę z okrucichów, z najdrobniejszych przejawów życia dołata; że krzesło było odwrócone, że było zimno, że na plan przyjeżdżała dziecko. Taka przedziwna karuzela wzmuszeń i niepowodzeń. Wajda mówił: „Krysiu, nie przebijaj się, tym razem to nie jest o tobie”. Musiałam grać na skrzypcach, a nie umiem, peszyło mnie to, starałam się ukryć w orkiestrze. A przecież to, że gram, gdy dyryguje sir John Gielgud, miało być dla mnie wspaniałym przeżyciem. Wreszcie zaczęła działać prywatna sympatia do niego.

● Jak to wpływało na rolę?

– Przed naszym pierwszym spotkaniem Wajda powiedział mi (a zawsze zwracam uwagę na to, co mówi prywatnie, co mu się niby wymyka, a jest w istocie szalenie precyzyjne): „Przyjrzyj mu się dobrze, bo od tego, co się między wami narodzi, zależy wasz wątek”. To było straszne spotkanie. Nie umiałam ani słowa po angielsku, Gielgud starał się być miły, mówić mi komplementy. Ja nie potrafiłam na nie reagować. Groza. A potem wytworzyło się jakieś porozumienie wzrokowe. Nauczyłam się zgadywać jego nastroj, zmęczenie z wyrazu oczu, sposobu zachowania. Powstała jakaś dziwna więź. To chyba nam bardzo pomogło w pracy.

Właściwie to wszystko zaczęło się od sceny w hotelu, bliskiej końca filmu, ale ponieważ była najtrudniejsza, Wajda zdecydował, że realizowaliśmy ją w jednym z pierwszych dni zdjęciowych. Jeszcze nie wiedzieliśmy dokładnie, jakie to będą postacie. I z desperacji, braku porozumienia, nieświadomości i zdenerwowania zagrałam tę scenę tak, jak sobie wyobrażałam wcześniej. A jestem, niestety, aktorką, której w niektórych sytuacjach trudniej nie płakać niż płakać. Zdumienie sir Johna nie miało granic. Od tego momentu pękły wszystkie tamy, widziałam, że coś się w nim przełamało. Zaczął interesować się moim samopoczuciem, powstała ta dziwna sympatia, taka prywatna-sieć uśmiechów na dzień dobry. Tego mego płaczu nikt z zewnątrz nie zauważył, ale dla nas było wszystko jasne.

● Czy zetknięcie z odmiennym sposobem gry nie było paraliżujące?

– Na szczęście nie mam nigdy paraliżującej trémy. Przeżywam tysiące strachów, ale jest to zawsze aktywne. Czasem w teatrze nie jestem wręcz w stanie wyjść na scenę, trzymam się kurczowo muru. Ale gdy już wyjdę, to działa – jak mówię – odruch Pawłowa, reflektor świeci mi w twarz i wszystko mija. Trema daje czasem taki efekt, że potrafię na premierze zagrać rolę zupełnie odmienną od tego, co próbowałam. Nie w założeniach oczywiście, ale w tempie, emocjach, różną temperamentem. I potem to redukuje albo prowadzę dalej, zależy od rezultatu. I właśnie rola w „Dyrygencie” to była taka jedna wielka niespodzianka – choć brzmi to strasznie „niezawodowo”.

● A gdzie jest powiedziane, że zawód aktorski ma wykluczać niespodzianki?

– Obserwuję starszych kolegów i fascynuje mnie, że rolę można precyzyjnie ustalić i przeprowadzić. Ja tego nie potrafię, nawet gdy dokładam wszelkich starań, by wszystko już wiedzieć o roli, mieć wynotowane... Nagle któregoś wieczora pada deszcz i już nie wiem, dlaczego wczoraj akurat tak stałam na scenie.

● Mimo tego nieuporządkowania wrzeń – czy czuje Pani, że rola w „Dyrygencie” była krokiem w Pani rozwoju? Może wszystkie role są stopniami nie kończących się schodów?

– Nie, nigdy tak nie myślałam. Każda rola to po prostu jakieś nowe doświadczenie. Jeśli mam przed sobą

zadanie, które rozumiem, potrafię znaleźć środki, by zbudować taką postać. W „Dyrygencie” było trudniej, bo nie miałam jasnej, klarownej linii.

Ciekawym doświadczeniem były dla mnie role w sztukach Przybyszewskiego. Postacie tak dziś szokujące sposobem myślenia, językiem. Krecyjność wpisana w słowa. Żeby upodobnić tekst, powiedzieć go prawdziwie, trzeba nieustannie szukać środków wspierających. W „Śniegu” na przykład zastanawiałam się ciągle, stosując oczywiście współczesne kryteria, jak podeprzeć egzaltację potrzebą wewnętrzną, jak ją psychologicznie usprawiedliwić. Ciepło wspominałam Elżbietę z „Granicy”, po prostu lubię tę kobietę, jest w niej wielka mądrość i prawość, i to taka najgłębiej rozumiana. Ani przedtem, ani później nie grałam takiej roli, choć inne były może bardziej błyskotliwe. Ta kobieta budziła mój szacunek. W ogóle ufam rolom literackim. Wierzę, że jeśli ktoś tak a nie inaczej nakreślił postać, to jest to od początku do końca przemyślane i sprawdzi mi się, jeśli będę umiała trafnie odpowiedzieć na wszystkie pytania, jeśli wejdę na dobry trop. A wszelkie wymyślanie wbrew tekstowi nieuchronnie się na mnie zemści.

Właściwie każde doświadczenie podsuwa nowe pomysły, które w tej roli nie dadzą się akurat zastosować, ale w następnej może tak. Coś najprostszego, nie wiem, fakt, że związałam włosy z boku albo inaczej się ubrałam. Kiedyś czytałam mnóstwo książek, brnęłam przez półki w bibliotece bez wyboru, kolejno. Dziś książki wspomnień pamiętników, biografii, tony literatury – bez oceniania ich wartości. Pozostała w pamięci galeria typów, często drobne, migawkowe niemal obrazki. Staję przed nową rolą i nagle błysk pamięci: aha, była taka kobieta, która miała wargi umalowane tak grubo, że aż się sklejały. Tak, nie może nawet zamknąć ust, bo wszystko się klei. Widzę tę postać, może teraz coś z niej wezmę, by zbudować kogoś zupełnie innego.

Teraz mam mało czasu na czytanie innych książek niż zawodowe. Może to zabrzmie pretensjonalnie, ale nie rozstaję się z Proustem. Jest jak balsam na moje poczucie umykającego czasu i nerwowość. Czytam, że bohater leży w łóżku i pada deszcz, i to jest usprawiedliwienie, że leży, bo znajduje się już w innym świecie. Fakt, że pada, usprawiedliwia chęć, by w ogóle życie zacząć od jakiegoś innego miejsca.

Tak, jestem sentymentalna, szalenie uczuciowa. Płacę w kinie. Coś, co najprostsze, co inni nazwaliby może banałem, potrafi mnie wzruszyć. Ufam prostocie. Może też dlatego staram się, by wszystko, co wymyślę i zagram, było jak najprostsze, jak najbardziej wyraziste, komunikatywne. To moja naczelną dewiza. Czasem mówią o mnie: „gra płamą, jedną kreską”. Skończyłam liceum plastyczne, w tym, co kiedyś malowałam, też dominujące było dążenie, by jedną kreską jasno przedstawić, o co mi chodziło. Naprawdę wierzę, że gdy się wie, czego potrzeba, pomysły przychodzą w sposób naturalny, nie szuka się ich całymi nocami. A Marta w „Dyrygencie” jest właśnie taką rolą nieprostą, bez konstrukcji. Moje zawodowe umiejętności posłużyły mi tylko w detalach, pozwoliły pokazywać kamerze, co się ze mną dzieje. Zwykle mam sprecyzowany pogląd na to, co zagram. Tu po raz pierwszy nie.

● Jak Pani ocenia swoje dotychczasowe role? Czy ma Pani odczucie, że któraś była nieudana?

– Nie udało mi się jeszcze nigdy prawdziwie zagrać osoby naiwnej.

Mogę być bezradna, sentymentalna, łagodna, nieszczęśliwa – ale nie naiwna. Muszę być bezradna i nieszczęśliwa, bo po prostu znalazłam się w określonej sytuacji, ale nie dlatego, że jej nie rozumiem. Moją pierwszą rolą w „Ateneum” była Anieli ze „Ślubów panieńskich”. Świdorski denerwował się i mówił: „Anieli to jest od anioła”. Ta rola zawiera zbyt wielką dozę wspaniałej, słodkiej głupoty i naiwności, ponad moje siły. Moja Anieli nie była taka, jak chciałby Fredro. Doskonale sobie wyobrażałam, jak powinna być zagrana, ale tego swego wyobrażenia nie potrafiłam zrealizować. To była moja klęska. Wyrastam z ról, jeśli nie założę, że postać rozwija się, dojrzewa. Po roku wchodzę na scenę i przeżywam tortury. Jestem w takim wieku, że wszystko się bardzo szybko zmienia, szczególnie u kobiety dwa miesiące to już znaczący przedział.

● **A role filmowe?**

– Te odczucia dotyczą intencji, a nie wykonania. Coś zostało zarejestrowane, wtedy byłam akurat taka. Widzę natomiast błędy techniczne, których bym nie popełniła grając dziś.

● **Czym jest dla Pani piosenka? „Guma” zaśpiewana w Opolu 77 ukazała przecież jeszcze jedno, nie mniej ciekawe Pani oblicze.**

– Lubię śpiewać. A wie pani dlaczego? Gdy jestem na scenie, od razu w pauzach analizuję, co zagrałam, dlaczego tak a nie inaczej, zastanawiam się, co dodać czy ująć. A muzyka to likwiduje, rytm uwalnia mnie od tego gorączkowego kombinowania. Uwielbiam, jak stoi za mną orkiestra i słyszę pierwszy takt, poddaję się temu bez reszty i jest cudownie. Długo czekałam na śpiewaną rolę w teatrze. Teraz jest Jenny. I mnóstwo niepokołów. Stałam nagle w „Salomon-songu” i niby wiem i nie wiem, jak to powinno być. Muzyka determinuje, trzeba stać i opowiedzieć tę historię. Gdybym mogła to powiedzieć! Jestem też po nagraniu dla telewizji „Małinowego chruśniaku” Leśmiana. Marek Grechuta napisał piękną muzykę, śpiewam zupełnie inaczej niż dotąd, jasno, jakby słodko. Pracowaliśmy nad tym od dawna, najpierw po prostu dla przyjemności, dla prywatnej satysfakcji. Przygotowuję się też do programu zatytułowanego roboczo „Kobieta trzydziestoletnia”, gdzie zaśpiewam pięć walców.

● **Tyle się działo i dzieje w Pani życiu aktorskim. Nie miała Pani nigdy poczucia nadmiaru?**

– Nie, mam raczej stale świadomość uciekającego czasu. W wielkim repertuarze istnieje pewien przedział ról. Bardzo wiele jest ról dla kobiet młodych, a potem zaczyna się martwy sezon. Chyba przed nim uciekam. Jeszcze dwa lata temu pracowałam bez zastanowienia, uprawiałam, jak to mówią, zawodowe szaleństwo, podejmowałam duże ryzyko. Młodych ludzi stać na ryzyko, więc kilka razy zagrałam ostro, va banque. Przyjaciele mówili: „uważaj, uważaj”. Teraz coraz częściej zastanawiam się, czy jeszcze tak mogę. Nie czuję, bym coś powieliła, więc ile jeszcze można wymyślić? Właściwie nie mam poczucia bezpieczeństwa, bo pojawia się ono wtedy, gdy aktor odnajdzie jakiś swój określony typ. Ale są i takie chwile, gdy myślę: ileż jeszcze jest wspaniałych rzeczy do zagrania, jaka ogromna przede mną przestrzeń.

**Rozmawiała:
ELŻBIETA
DOLIŃSKA**